

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoś strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

PARYSKIE GADY.

64

— Co? Okupić się mam?

— Tak, proszę pana... Nie zawsze człowiek ma okazję przejść się w góry razem z miliarderem... Nie zdziwi się więc pan, że ja i mój przyjaciel chcieliśmy z tego skorzystać...

— Chyba że nie mnie bierze pan za miliardera?

— Owszem, pana.

Panajonem, mimo jego pozornego spokoju, miały najrozmaitsze uczucia, jedne żywsze od drugich: obawa, aby nie stało się co złego Ewie, wstyd, że wpadł w pułapkę, gniew, że Duret jeszcze raz mu się wymknął, ciekawość, w jaki sposób udało się Duretowowi otruć więcej niż połowę swych przeciwników i przekupić ich przewodników. Do tych uczuć przyłączyło się jeszcze jedno: złośliwy był zadowolony, że go wzięto za miliardera. W każdym innym wypadku nigdyby nie oponował przeciw takiemu mniemaniu, obecnie jednak byłoby to niebezpiecznym. Trzeba było jak najprędzej wywieść Gonzalę z błędu.

— Wierz mi, mój przyjacielu, że żałuję bardzo — zaczął znowu flegmatycznie więzień — ale przez powiększające szkło patrzy pan na mój majątek. Nie mam, niestety, tysiąca milionów, ani nawet tysiącznej tego części... Niech mi pan jednak pozwoli zadać sobie jedno pytanie: Co się stało z pańskim hiszpańskim akcentem, z którym było panu tak bardzo do twarzy?... Zdaje mi się, że wymowa pańska przypomina kraj, leżący dość daleko od granicy hiszpańsko-francuskiej... Czy pan przypadkiem nie jest rodem właśnie z tamtych stron?

Panajon był zawsze doskonałym graczem. Przegrał partię. Odczuł bardzo boleśnie tę zmienność szczęścia. Lecz już się uspokoił i powracał mu jego zwykły dobry humor. Odzyskał swą ufność w siebie i coraz mniej niepokoił się o Ewę. Co zaś do niebezpieczeństwa, które jemu samemu groziło, to nawet przez chwilę o nim nie myślał. Również uspokajała się i piękna prasowaczka. Łzy, jakie jej jeszcze płynęły z oczu, były tylko oznaką radości, że Panajon powrócił zupełnie do siebie. Po rozpaczy, jakiej przed chwilą doznała, nie żądała na razie nic więcej. Mniejsza z tem, że jest więźniem rozbójników, byle tylko żył jej przyjaciel.

Tymczasem mniemany Hiszpan odpowiadał na ostatnie zapytanie mniemanego miliardera.

— Rzeczywiście, ja nie jestem z Irunu, proszę pana, pochodzę z Londynu...

— Ach! domyślałem się tego! — odrzekł zło dziej. — Nazywa się pan?

— William Palmer.

— William Palmer?... Pan jest William Palmer?... W takim razie pański przyjaciel nazywa się Fred Burley?...

— Pan nas zna?... Istotnie... Jesteśmy dość popularni w krajach anglosaskich.

Fałszywy Gonzalo Morales swym uśmiechem zdradził zadowoloną próżność.

Panajon zamilkł. Był zdumiony.

— Nic nie rozumiem — szeptał. — Pan twierdzi, że Duret nie wchodził z panami w porozumienie?...

— Nie... Chce pan wiedzieć, jak się to wszystko stało?

— Będę bardzo wdzięczny za te informacje... Zwrócę jednak przedtem uwagę na jedną tylko rzecz... Dzikosć jakiegoś Moralesa i Herrery jest rzeczą zupełnie naturalną... Oburza mnie jednak dzikość Palmera i Burleya... Postępowanie panów nie jest godne dżentelmenów, słyszy pan?... Krepując młodą kobietę i rzucać ją na ziemię... Och! będą o tem wiedzieli w Londynie, przyrzekam to panu! A przekona się pan, czy mam ja tam posłuch!

William Palmer zaczerwienił się cały.

— Przepraszam! — rzekł. — Wzięłem panią z całym szacunkiem... i z delikatnością, na jaką pozwalała pani wyrywanie się... I wcale nie rzucałem pani na ziemię. Położyłem jak najwolniej...

— Skrzywdził mnie pan! — przerwała Ewa. — Jesteś pan dzikusiem!

— To pani mnie uderzyła, wyrывая się — zaprzeczył przewodnik. — Proszę mi uwierzyć, że zachowałem się z wszelkimi winnymi względami. Nie mam wcale zamiaru traktować przez nogę miliardera... i z przyjemnością zamienilibyśmy ten sznur na girlandy z kwiatów, byle one były dostatecznie mocne... Za nisko może mają państwo głowy?... Zaraz!...

Poszedł w róg lepianki, gdzie znajdował się stos omszałych kamieni. Musiały one dawniej służyć za jakiś prymitywny piec. Palmer wybrał z nich dwa najmniejsze i podłożył je jako poduszki pod głowy swym więźniom, przepraszając bardzo, że nie może ofiarować im nic lepszego.

— A teraz — rzekł Panajon — niech pan mówi.

— Bardzo chętnie... Nic nie mam do ukrywania. Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem do Hendaye południowym expresse... Zatrzymaliśmy się w Grand-Hotelu... W nocy chcieliśmy oporządzić podróżnego z sąsiedniego pokoju. W tym celu zrobiliśmy dziurę w ścianie nad łóżkiem...

— Dalej! — przerwał mniemany miliardier.

— Rozpyliliśmy...

— ...Chloroform przez tę dziurkę w ścianie... Dalej. Znam się na takich operacjach.

— Ach?... Dobrze!... Jednym słowem weszliśmy do naszego sąsiada. W pokoju jego było ciemno, jak w kominie i nie słychać było nawet jego oddechu. Baliśmy się, czy przypadkiem nie otrut się chloroformem... Zaświeciłem lampę. I pośrodku pokoju ujrzelśmy w fotelu wysokiego, bladego mężczyznę w czarnym ubraniu, który patrzył na nas w milczeniu jakimś dziwnym okiem.

Na wspomnienie tej sceny przewodnik pokiwał głową i przerwał na chwilę.

— Niech mi pan wierzy, jeżeli pan chce — mówił dalej. — Ani ja, ani mój przyjaciel nigdy jeszcze nie doznaliśmy strachu. Ten niespodziewany jednak widok tak nami wstrząsnął, iż nie mieliśmy siły uciekać. Przyznaję się do tego otwarcie. Przez chwilę staliśmy, jak zahipnotyzowani... a gdy zaczął do nas mówić tonem poważnym i ostrym, odpowiedzieliśmy pokornie — my, od których żaden najsprytniejszy sędzia nie mógł nic więcej wydobyć ponad to, cośmy sami chcieli powiedzieć. I gdy nas odprawił, wynieśliśmy się jak najprędzej.

— To dziwne — szepnął Panajon.

— Przed odejściem naszym — opowiadał dalej Anglik — zaproponował nam, byśmy zabrali się do jego sąsiadów, między którymi jest miliardier, jego największy wróg...

— Nędznik! — zawołała Ewa.

— Nie był to zły pomysł — przyznał Panajon. — Co za bezczelność! Ach! nasz zacny prezes zdystansował wszystkich zawodowych kryminalistów!

— Po powrocie jednak do siebie — ciągnął dalej William Palmer — nie znaleźliśmy dość siły i odwagi, by wziąć się do wskazanej przez niego roboty... Byliśmy jeszcze przerażeni a przytem nie wiedzieliśmy, który z tych podróżnych jest miliardierem. Rano dopiero opanowaliśmy swój strach i ułożyliśmy plan działania. Widząc samochód, domyśliśmy się, że panowie jesteście turystami. Postanowiliśmy przebrać się za przewodników hiszpańskich.

Panajon był bardzo zainteresowany tem opowiadaniem. Przedewszystkiem ponieważ sam odgrywał w niem rolę i to pierwszorzędną, a przytem kolega po fachu opowiadającego, mógł jako znawca ocenić jego pomysliwość.

— Musieli jednak panowie gdzieś się przebrać? — zapytał.

— Owszem, w najbliższym sklepie na ulicy du

Port. Powiedzieliśmy kupcowi, że chcemy się tak fotografować. Zdaje się jednak, że nie bardzo w to wierzył, zwłaszcza iż przed wyjściem pomalowali nam sobie twarze na brunatno. Nie przypuszczaliśmy mimo to, byśmy byli chloroformistami, uważaliśmy raczej za dowódców kontrabandzistów...

— A potem zjawili się panowie do nas z ofiarowaniem swych usług — rzekł Panajon. — Wszystko teraz jest zrozumiałe... z wyjątkiem jednego punktu. Dlaczego panowie myślą, że to ja właśnie jestem miliardierem?

— Rzuca się to samo w oczy! Sam pański sposób wydawania pieniędzy. Pańskie zachowanie się...

— Palmer, mój przyjacielu, co powiedziałem przed chwilą Gonzalowi, powtarzam teraz Williamowi... Jesteś pan głupi!

Anglik uśmiechnął się i ukłonił.

— Sądzi pan, że naciagam pana? — mówił dalej Panajon. — Niestety, nie! Miliard mój istnieje tylko w pańskiej wyobraźni. Żałuję bardzo, ale tak jest... Czy zna pan niejakiego Panajona?

— Naszego kolegę francuskiego?

— Tak...

— Znam go ze słyszenia.

— Nietylko ze słyszenia... Jest on przed panem. Anglik zamilkł na chwilę, potem roześmiał się podejrzliwie.

— Nie wierzy mi pan? — zapytał Panajon.

— Naturalnie, że nie!

— Tem gorzej dla pana!

— I dla pana! — odparł Palmer. — Będzie pan tak pozostawał, dopóki Burley i ja nie umieścimy w pewnym miejscu pańskiego miliona.

— Gdzie jest teraz Burley?

— Odprowadził tych panów do Hendaye i teraz wraca tutaj... Tak się zawczasu umówiliśmy... Pójdzie po naszych śladach.

— Lecz dlaczego czekał pan tak długo z swą napaścią na nas?

— Trzeba było oddalić się dość od miasta... zagłębić się w górach.

— Stusznna uwaga...

— Tutaj możemy być zupełnie bezpieczni... Nikt nie przeszkodzi nam w naszych układach... I ta ru dera bez dachu jest doskonałym schroniskiem. W tem miejscu właśnie postanowiłem ubezwzględnić pana... Szedł pan przedemną o kilka metrów. Jednym skokiem dopędziłem pana i ciosem w kark powaliłem na ziemię. Pani skoczyła na mnie, jak tygrysica, i omal mnie nie przewróciła — pohamowałem się jednak, choć groziła mi utrata oczu od palców pani!

— Nędznik! — zawołała Ewa. — Wykręcił mi ręce! Nikczemnik!

— Pst! — szepnął Panajon.

— To nie była nikczemność — odparł Anglik — było to dziu-dziłtu.

— A więc — zaczął znowu Panajon — nie przestaje mnie pan uważać za króla złota?

— Nie!... Chyba że zostanę przekonany o swej pomyłce...

— Żałuję bardzo, że nie mam przy sobie żadnych dowodów... Lecz słyszałem, jak nazywano pana Johnem Harrisem...

— Harris jest to mój pseudonim zawodowy.

— Bardzo pięknie! Wyświetlimy to później!

— A na razie może pan nam dać czegoś do picia?

— Przywiązałem osła do muru, zaraz go tu doprowadzę...

William Palmer skierował się do zmurszałych drzwi i wyszedł z lepianki.

— Dlaczego nie powiedziałaś żeś nie ty miliardierem, lecz Jackson? — zapytała Ewa.

— Po co? I takby mi nie uwierzył... A gdyby nawet uwierzył, do tej pory nie puściłby mnie, dopóki Jackson nie złożyłby za mnie okupu. Duret tymczasem i tak ucieknie.

— Wio! — słychać było głos Anglika.

Po chwili ukazał się w drzwiach, popychając